Rok XXII. We Lwowie, dnia 24. września 1915. Nr. 37.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 11 Kor.
półroczna . 6 „
kwartalna . 3 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: Ks. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

List J. E. X. Metropolity Dra Józefa Bilczewskiego do Duchowieństwa archidyecezyi[1]).

„My się też w uciskach chlubimy, wiedząc, iż ucisk sprawuje cierpliwość, cierpliwość doświadczenie, doświadczenie nadzieję. A nadzieja nie pohańbia".
List do Rzym. 5, 3. 4.

„Mocna jest jako śmierć miłość".
Pieśń nad Pieśń. 8, 6.

Umiłowani moi Bracia!

„Winnica ogniem spalona i rozkopana. Kościół Twój święty splugawiony... Jeruzalem obrócone w budkę na chowanie jabłek... Ziemia krwią zlana niby wodą... Trupy sług Twoich niepogrzebane, porzucone na strawę ptakom powietrznym i zwierzętom ziemi... Lud nad miarę karmiony chlebem płaczu, łzami nad miarę napawany[2])".

Żale, jakie na widok spustoszonej ojczyzny Psalmista zanosił Bogu, i z Waszej w ostatnich miesiącach dobywały się duszy. Ze skargą łączyliście też z pewnością błagania: „Dokądże, Panie, gniewać się będziesz do końca, rozpali się jako ogień zapalczywość Twoja... Nie wspominaj dawnych nieprawości naszych; niech nas rychło uprzedzą litości Twoje, bośmy się stali bardzo ubogimi. Wspomóżże nas, Boże Zbawicielu nasz, a dla sławy Twego imienia wybaw nas[3])".

Wszak i nasza winnica, archidyecezya ukochana, ogniem spalona, rowami przekopana jak nigdy. Z niektórych świątyń zostały tylko gruzy; z wielu wygnana Najświętsza Ofiara. Pola nasze, lasy nasze zasłane zwłokami ludzkiemi. Rzeki nasze płynęły krwią, spławiały ciężary dotąd sobie nieznane, ludzkich ciał wały. Lud nasz także nad miarę karmiony chlebem płaczu, nad miarę napawany łzami.

[1]) Dołączony do Kurendy V. z r. b. [2]) Psalm. 78: 79. [3]) Psalm. 78, 5—9.

Obok plag publicznych, które na wszystkich spadły, zaciężyła nad Wami niedola osobista. Wielu z Was po przejściach czasów ostatnich może z pewną słusznością powtórzyć za św. Pawłem: „w pracach byliśmy rozlicznych, w ciemnicach obfitych, w razach nad miarę, w śmierciach wielokroć, bici niejednokrotnie rózgami, w niebezpieczeństwach rzek, w niebezpieczeństwach od rodziny, w niebezpieczeństwach od pogan, w niebezpieczeństwach w mieście, w niebezpieczeństwach na pustyni, w niebezpieczeństwach między fałszywą bracią, w niespaniu częstem, w głodzie i pragnieniu, w pościech częstych, w zimnie i nagości[1])". Bodaj czyście się nawet nie ratowali kiedy od śmierci głodowej, trąc kłosy polne, jak je tarli ongi w ręku apostołowie. Są i tacy wśród Was, z chlubą to podnieść możemy, którzy zostali znalezieni godnymi cierpieć wygnanie dla świętego Imienia Jezusowego.

O wszystkiem tem, co przecierpieliście, wiedziałem, Bracia moi serdeczni i tem srożej nad Waszym losem bolałem, iż najczęściej nie mogłem nawet pospieszyć ku Wam z pomocą, służyć choćby słowem, radą. Myślą jednak i sercem wciąż z Wami, mawiałem: *„Któż choruje a ja nie choruję? Któż się zgarsza a ja nie bywam upalon?*[2])".

Równocześnie *„byłem pełen pociechy, nader obfitowałem weselem we wszystkich utrapieniach moich*[3])". A źródłem tego wesela była właśnie świadomość, iż mimo wszystkie niebezpieczeństwa, które w parafiach naszych są nawet liczniejsze i większe

[1]) 1 Korynt. 11, 23—27. [2]) 2 Korynt. 11, 29. [3]) 2 Korynt. 7, 4.

niż gdzieindziej, Wy jednak nieustraszeni wytrwaliście przy swojej owczarni, ucząc, ciesząc, posilając, broniąc od wilków, gotowi zawsze, gdyby Bóg tego zażądał, dać i życie za owce swoje. Kościół, dyecezya nasza, Wam tego bohaterskiego umiłowania obowiązku nigdy nie zapomni. Z mojej strony niosę Wam wszystkim, którzyście wiernie na straży swoich parafij pozostali, jak i Wam, którzyście z największą gotowością nieobecnych duszpasterzy zastąpili, Wam wszystkim, Bracia, którzyście zapomnieli o sobie a dbali tylko o interes dusz Waszej opiece zwierzonych, spieszę wyrazić głęboką arcypasterską podziękę razem i zapewnienie, *„iż staliście się mi podwójnie drogimi — quoniam carissimi mihi facti estis*[1]*)"*. Gorącą wdzięczność wypowiadam także wszystkim tym duszom, które z wysokich swych czatowni duchownych nieustannie nas kapłanów wspierały modlitwami, dniem i nocą przed Najświętszym Sakramentem wołając: „Przepuść, Panie, przepuść ludowi Twojemu; nie podawaj na pohańbienie Kościoła Twojego świętego".

*

Wojna nie jest tylko niszczycielką, ale zarazem m i s t r z y n i ą. Jak każdy ucisk, sprawiła ona *„cierpliwość a cierpliwość doświadczenie*[2]*)"*. Obnażyła duszę naszych wiernych. Przeniknęła ją swemi błyskawicami. Jak huragan łunami swemi oświeciła niezłomną wierność naszych dyecezyan dla świętego Kościoła katolickiego, ich gorące umiłowanie obrządku łacińskiego i co niemniej pocieszające, ich głębokie przywiązanie do swoich kapłanów. Niestety wydobyła też na jaw zjawiska smutne, straszne. Z przerażeniem mianowicie stwierdziliśmy, iż na dnie serca niektórych wiernych tliły się nieujarzmione najdziksze instynkty, które podsycone podmuchem jeszcze dzikszej namiętności, rozszalały się miejscami w ohydnych grabieżach, w mściwem donosicielstwie, w bezwstydnej rozpuście.

Wobec poczynionych doświadczeń zadania nasze na dalszą pracę duszpasterską są jasne.

Przywiązania do Kościoła, do obrządku, do duchowieństwa nie wolno uważać za kapitał żelazny, któryby nigdy niczem się nie uszczuplał, nie umniejszał. Nie strzeżone cnoty te w walce, w tarciach życia ostygają, maleją. Obowiązkiem tedy naszym głównym i po wojnie pogłębiać wciąż świadomość katolicką u wiernych wszystkich stanów i radość z przynależności do obrządku. Nie potrzebuję też przekonywać Was, iż z wielką troskliwością winniśmy dalej prowadzić pokojowe dzieło budowy kaplic. Po ciężkiej próbie, którą wszyscy, bez różnicy narodowości i obrządku, przeżyliśmy, nikt już chyba teraz nie znajdzie się, ktoby znaczenia i roli opatrznościowej naszych kaplic, ostoi, posterunków wiary, nie docenił, a w następstwie ważył się głosić, iż mamy ich w dyecezyi za wiele albo choćby dosyć.

[1]) 1 Tessal 2, 8. [2]) List do Rzym. 5, 3—4.

Przy pilnem strażowaniu koło wiary starajmy się też usunąć jak najrychlej naniesiony w dyecezyę falami wojny, namuł moralny. Wiem, jak głęboko zostało zranione niejedno serce kapłańskie. Ale mimo wszystkie niewdzięczności, zawody ani na chwilę nie wolno nam spocząć, nie wolno mówić: szkoda dalszej pracy! Wszelkie opuszczenie rąk a choćby sfolgowanie w gorliwości byłoby małodusznością, byłoby zbiegostwem z posterunku. Bóg nienawidzi fałszywego pokoju u tych, których przeznaczył na ciągłą walkę. Któż z nas zresztą, z ręką na pulsie sumienia, może twierdzić, iż całkiem jest czysty, całkiem niewinny przewinień swojego ludu! Któż z nas miałby odwagę powtórzyć: *„quid debui ultra facere vineae meae et non feci* — co mogłem jeszcze więcej i lepiej uczynić na ambonie, w konfesyonale, w szkole dla winnicy mojej a nie uczyniłem? [1])". Ponieważ nikt z nas tego o sobie powiedzieć nie może, zabiegajmy najusilniej dalej, jak miłosierny Samarytanin, koło potrzeb, koło ran, koło niemocy naszych wiernych. Uczmy, nalegajmy w czas nie w czas, pamiętając przytem zawsze, że p r a w d a j e s t m i ł o s i e r n a. Zwłaszcza gdy idzie o krzywdy nam osobiście wyrządzone *„przyoblec̨zmy się, jako wybrani Boży, we wnętrzności miłosierdzia, w dobrotliwość, w cierpliwość"*[2]). Nadewszystko zaś weźmy za przykładem Ojca świętego za o s o b l i w s z e z a d a n i e dalszego naszego życia troskę o przywrócenie, o pomnażanie miłości Jezusa Chrystusa śród ludzi[3]). Na dalszą bowiem metę ten tylko naród ostatecznie zwycięży, który będzie silniejszym, bogatszym w rzetelną, czynną miłość Boga i bliźniego.

Także odnośnie do naszego własnego życia wiele nas wojna nauczyła, a przynajmniej nauczyć była powinna. *„Nie, żebym was zawstydził, to piszę, ale aby was jako syny moje najmilsze uczynić uważnymi — non, ut confundam vos, haec scribo, sed ut filios meos carissimos moneo"*[4]). Dotychczas niejednokrotnie w kazaniach naszych wobec ludu podnosiliśmy nicość, znikomość dóbr ziemskich, czy one się zwą sławą, złotem, domostwem, rolą. „Marność nad marnościami" wołaliśmy. „Dobrami, które nigdy nie tracą na wartości, są jedynie łaska Boża, cnota, w miłości Bożej nagromadzona zasługa. Te dobra skarbmy sobie, bo ich ani ogień spalić, ani woda unieść, ani rdza zgryść, ani mól zepsuć, ani złodziej wykopać, ukraść nie potrafi". Takie rady innym dawaliśmy. W rzeczywistości, w życiu codziennem jednak nieraz o te marności, błahostki na równi z ludźmi świeckimi zabiegaliśmy, nabytych zazdrośnie strzegliśmy, jak gdyby one dobrami w sobie były istotnemi. Dziś, gdy wojna je rozwiała jak bańki mydlane, przekonaliśmy się dotykalnie, iż przynajmniej bez wielu z nich i żyć i skutecznie pracować można; stwierdziliśmy, iż postradawszy je, dobiliśmy się nieznanej nam nawet dawniej wol-

[1]) Izaj. 5, 4. [2]) Kolos. 3, 12. [3]) Encykl. Benedykta XV. z 1. listopada 1914. [4]) 1 Kor. 4, 14.

ności ducha — „*laqueus contritus est et nos liberati sumus*“[1]).

Otóż trzeba, aby te wielkie lekcye, które nam wojna dała, nigdy i pod tym względem nie poszły w zapomnienie. Co teraz z konieczności w życiu naszem codziennem uprościliśmy, niech i w przyszłości się utrzyma, umacnia. Cnoty żołnierskie: obywanie się małem, męstwo, wytrwałość, cierpliwość, skupienie, dokładność, zdwojona karność niechaj i w czasach już spokojnych będą naszym dobrym obyczajem.

Gdy za granicą znakomity biskup bolał nad skrajnem ubóstwem swojego kapłana, o które go przyprawiła wojna, otrzymał odpowiedź: „Arcypasterzu! żyję obecnie tak, jak żałuję, że nie żyłem zawsze“. Słysząc o tem wielkodusznem wyznaniu, pomyślałem: „I mnie co do mojego duchowieństwa nadzieja nie pohańbi. I ja, co najmniej od wielu z moich kapłanów, podobną otrzymałbym odpowiedź“. Jakże bardzo tego pragnę!

Ale nie o to idzie, jakie Wy w tej chwili wobec mnie złożycie zapewnienie. Stokroć ważniejsze od tego, cobym ja rad i miał od Was usłyszeć, jest, co my — Wy i ja — dziś z pełni duszy zwierzyć możemy i zwierzyć winniśmy Najwyższemu Wodzowi naszemu. Zwierzmy Mu w tej uroczystej godzinie wspólne nasze ślubowanie:

„Na Twoją Chryste zaciągnęliśmy się służbę. Na tej służbie chcemy trwać. Na wiernej żołnierce u Ciebie pozostaniemy całe życie, choćbyśmy i żadnego innego nie mieli otrzymać na ziemi żołdu nad ten, którym Twoje bojowanie Ojciec Niebieski opłacał: głód, zimno, niewdzięczność, prześladowanie. W Twe świetlane wpatrzeni rany, niczego nigdy strachać się nie będziemy... prócz grzechu. Ześlesz gorsze uciski od tych, które przebyliśmy,... my zawsze chlubić się w nich przysięgamy. „*Serviemus in laetitia*“! Mocniejszą niż śmierć będzie nasza miłość.

Tak nam dopomóż, Dobry Pasterzu i Wodzu nasz Boży, ślubowania naszego, przysięgi naszej żołnierskiej bez skazy dochować... do końca.

We Lwowie, w rocznicę zajęcia stolicy, dnia 3. września 1915 roku.

† *Józef*
Arcybiskup Metropolita.

[1]) Ps. 123, 7.

O wygłaszaniu kazań.

Że najlepsze nawet pod względem treści kazania i egzorty nie czynią pożądanego wrażenia, jeżeli nie są dobrze wygłoszone, o tem pouczają wszystkie podręczniki homiletyki i nie byłoby potrzeby powtarzać starej tej prawdy, gdyby nas nie przekonywało codzienne doświadczenie, że bardzo wielu kaznodziejów mało ją uwzględnia w praktyce i popełnia liczne błędy przeciwko prawidłom dobrej pronuncyacyi. Dlatego nie będzie może zbytecznem ponowne poruszenie tej ważnej sprawy, chociaż nie potrafimy zapewne powiedzieć o niej nic, czegoby nie można znaleźć w dziełach poświęconych wymowie kaznodziejskiej[1]).

Krótko a trafnie zestawił św. Franciszek Salezy (w liście do arcybiskupa w Bourges) przymioty dobrej pronuncyacyi kaznodziejskiej w słowach następujących: ma ona być swobodną, szlachetną, śmiałą, naturalną, żywą, pełną godności, powolną. „Mówię: „swobodną“ dodaje Święty „przeciw wymuszonemu i sztucznemu sposobowi pedantów szkolnych; szlachetną — przeciwko manierom chłopskim pewnych kaznodziejów; — śmiałą — przeciwko owym bojaźliwym, którzy przemawiają do swoich słuchaczy jakby do swoich ojców, a nie do swoich dzieci i uczniów; — naturalną — przeciw wszelkiej sztuczności i afektacyi; — żywą, pełną siły, nie mdłą i zniewieściałą; świętą i pełną godności — przeciwko żądzy podobania się i przymilania i gestykulacyi lekkomyślnej; — wreszcie powolną — przeciwko pewnej akcyi pobieżnej i urywanej, która więcej wpada w oczy niż chwyta za serce“.

Żeby określić dokładniej wymienione w tych słowach warunki dobrego wygłoszenia, zwrócimy najpierw uwagę na pewne błędy, które popełnia się aż nadto często, a które utrudniają albo wprost czynią niemożliwem zrozumienie słów kaznodziei. Tu należy w pierwszym rzędzie wymawianie głosek i sylab nie dość wyraźne, które pracę wielu kaznodziejów czyni całkiem bezowocną. Niejeden ma głos bardzo silny i nie żałuje płuc a przecież staje się niezrozumiałym przez to, że połyka zgłoski, że nie wygłasza każdej, jak należy, co dzieje się zwłaszcza wtedy, gdy tempo pronuncyacyi jest zbyt szybkie. Im większy jest kościół, tem powolniejsze powinno być wygłoszenie. Trzeba też uwzględniać pauzy gramatyczne i każdy wyraz akcentować zgodnie z jego znaczeniem, np. silniej akcentować rzeczownik niż przymiotnik, jeżeli ten nie wymaga szczególniejszego nacisku. Do bardzo częstych błędów i zaniedbań należy zbyt ciche i pospieszne odczytywanie perykopy. Zdarza się też nie rzadko, że kaznodzieja wygłasza pierwszą połowę zdania zrozumiale a nawet za głośno, a drugą całkiem cicho — tak, iż słuchacze nie mogą pochwycić żadnej prawie myśli.

Dużo zależy także od stanowiska, zajętego przez mowcę; najlepiej można go zrozumieć, jeżeli głos jego odbija się od ściany kościoła lub jednego z filarów, przyczem musimy przestrzedz osobno przed błędem także nie rzadkim, który popełnia się przez to, że kaznodzieja zwraca się na przemian to w prawą, to w lewą stronę, co ma ten skutek, że tylko połowa jego zdań dochodzi wyraźnie do uszu słuchaczy, stojących po obu stronach.

Dalszymi warunkami dobrego wygłoszenia są: naturalność, rozmaitość intonacyi i umiarkowana żywość. Będzie ono posiadało te przymioty, jeżeli trzymać się będzie w tonie szlachetnej konwersacyi, jeżeli wystrzegać się będzie monotonii, isotonii i wszystkiego, co trąci

[1]) Por. Schleiniger'a „Das kirchliche Predigtamt“, wyd. 3-cie Fryburg w Br. 1881 str. 443—466, — Jungmann'a-Gatterer'a „Theorie der geistl. Beredsamkeit“ wyd. 4-te, tamże 1908, str. 365—386, Schubert'a „Grundzüge der Pastoraltheologie“, Grac i Lipsk 1913, str. 545—560.

sztucznością i afektacyą. Do najpospolitszych jednak i najszkodliwszych błędów należy ów nienaturalny „ton kaznodziejski“, który tak bardzo różni się od zwyczajnego sposobu mówienia i przypomina raczej melodyę prefacyi. Bez względu na znaczenie słów i stosunek pojęć recytuje się jedno zdanie po drugiem głosem podniesionym, jednostajnym, usypiającym. Żeby uchronić kandydatów do stanu duchownego przed tym błędem, trzeba urządzać z nimi często ćwiczenia w wygłaszaniu ustępów treści rozmaitej i zwracać ich uwagę na to, że całkiem innej modulacyi głosu wymaga proste opowiadanie, innej dyalog, innej zwroty patetyczne itd. Nie każdy ma głos równie sposobny do modulacyi, ale każdy może przez usilne ćwiczenie doprowadzić do tego, że będzie mówił w sposób naturalny, zmieniając intonacyę stosownie do treści i że słuchać go będą z przyjemnością i pożytkiem. Ważną jest także rzeczą, żeby przy wygłaszaniu nauki czyniono odpowiednie pauzy (nie zbyt długie), które pozwalają mowcy zaczerpnąć tchu a słuchaczom zastanowić się trochę nad tem, co usłyszeli; — jeżeli takich pauz niema, staje się łatwo intonacya jednostajną.

Między warunkami dobrego wygłoszenia wymieniliśmy powyżej także „umiarkowaną żywość“. Jeżeli kaznodzieja przejęty jest prawdami, które głosi, będzie to przebijało się z tonu jego słów, podobnie jak i w rozmowie codziennej łatwo zwykle odczuć, czy rzecz jakaś żywo nas obchodzi, czyli też jest nam obojętną. Ale ta żywość powinna być „umiarkowana“, — kaznodzieja powinien uczucie swoje trzymać na wodzy, nie dać się porwać do wybuchów gwałtownych. Skromna powaga i namaszczenie powinny zawsze znamionować jego słowa, nawet tam, gdzie najsilniejsze wyraża uczucie żalu, oburzenia, wstrętu do pewnych występków itp.

Ale tu nasuwa się samo przypomnienie tej wielkiej prawdy, że najważniejszym warunkiem dobrej wymowy kaznodziejskiej jest przygotowanie ascetyczne, żywa wiara, gorąca miłość ku Bogu i bliźnim a zaparcie się miłości własnej. Gdzie tego niema, tam łatwo zakrada się sztuczność i afektacya, którą słuchacze doskonale odczują, albo też wygłoszeniu brakować będzie owej szlachetnej śmiałości i swobody, o której mówi św. Franciszek Salezy, bo kaznodzieję będzie krępowała obawa krytyki i lekceważenia jego osoby i nauki. Kapłanom zaś pełnym ducha apostolskiego płyną słowa całkiem swobodnie z głębi serca i trafiają do serc słuchaczy.

Nie od rzeczy zresztą będzie dodać, że kaznodzieja powinien głos swój szanować i używać go oszczędnie, posługując się przeważnie właściwym mu tonem średnim i podnosząc go tylko w sposób umiarkowany w miejscach, które tego wymagają. Zdarza się często, że kaznodzieja natęża swe płuca zaraz na początku nauki a potem może już tylko z trudnością wygłaszać zdania końcowe, któreby właśnie powinien wypowiedzieć z największą siłą, żeby wywołały wrażenie pożądane.

Baczną także uwagę powinien zwracać każdy kaznodzieja na swoją postawę i na ruchy, jakie wykonywa przy wygłaszaniu swych nauk. Powinien stać prosto, ale nie sztywnie, — z rękami, opartemi z lekka na krawędzi ambony. Wyraz oblicza jego niech będzie poważny, ale uprzejmy, oczy otwarte, zwrócone ku słuchaczom (nie zasłonięte okularami), gestykulacya swobodna, szlachetna, nie zbyt żywa, nie przekraczająca pewnej miary estetycznej. Do błędów, psujących wrażenie a bardzo niestety rozpowszechnionych, należą: wyginanie się gwałtowne na wszystkie strony, uderzanie w ambonę, wygodne i niedbałe opieranie się na niej, wymachiwanie rękami całkiem bezmyślne, kiwanie głową zbyt częste itd. Inni znowu przeciwnie stoją nieruchomo jak posągi, — inni poruszają się jednostajnie, to w prawo, to w lewo na kształt wahadła. Z dwojga złego lepszy jest zupełny brak gestykulacyi niż gestykulacya nieestetyczna, pobudzająca do śmiechu.

Zwyczajnie gestykuluje się tylko prawą ręką (której palce nie powinny być nigdy rozszczepione), rzadziej także lewą (kiedy np. mówi się o rzeczach przeciwnych, wskazując w dwie strony); prawą podnosi się w górę, mówiąc o Bogu, o niebie, lewą wskazuje się na dół przy wspomnieniu grobu, śmierci, piekła. Zadając pytanie, można wyciągnąć obie dłonie otwarte ku słuchaczowi; — wzywając do rozwagi, podnosi się rękę do czoła; — przy silnem zaprzeczeniu wykonuje się ruch odpychający; — mówiąc o miłości, można przyłożyć rękę do piersi; — obie ręce wyciąga się przy prośbach i zaklęciach; — ruch kolisty dłoni wskazuje na ogólne znaczenie zdania wygłoszonego; — chcąc szczególny nacisk położyć na jakąś prawdę, można prawe ramię wyciągnąć prosto w kierunku poziomym, podnosząc zarazem głowę itp. Trudno tu jednak o wskazówki ogólne, których by wszyscy kaznodzieje mogli się trzymać; jeżeli gestykulacya ma być swobodną i naturalną, musi odpowiadać indywidualnym każdego właściwościom; chodzi tylko o to, żeby nie była rażącą, rubaszną ani nie czyniła wrażenia sztuczności aktorskiej. Takie wrażenie wywołują ruchy, powtarzane zbyt często, którymi chce się każdą prawie myśl uwydatnić plastycznie, kiedy się np. przy każdej wzmiance o sercu kładzie rękę na piersi, kiedy się przytyka palec wskazujący do czoła, ilekroć jest mowa o myśli, o rozumie, kiedy się zawraca oczyma i mówi głosem miękim i drżącym, aby przez to wyrazić pobożne wzruszenie itd.

Kto chce nauczyć się dobrej gestykulacyi i pronuncyacyi, powinien uwzględniać rady homiletów i prosić konfratrów, żeby mu wytykali całkiem otwarcie błędy, jakie u niego wpadną im w oczy. Brak krytyki rozumnej bywa powodem, że niejeden przyswoi sobie maniery mniej lub więcej wadliwe, których już może nie pozbędzie się do końca życia.

N.

Anatol France [1].

(1844—1914).

Jeden z najgłośniejszych pisarzy francuskich doby ostatniej, świetny stylista, wychwalany przez całe setki recenzentów dziennikarskich jako poeta, myśliciel i znakomity krytyk, Anatol France (właściwe jego nazwisko

[1]) W art. tym korzystałem z cennej rozprawy Wiktora Giraud p. n. „M. Anatole France“, zamieszczonej w „Revue de deux mondes“ z r. 1913 (w zeszytach z 15-go listopada i 1-go grudnia). Autor.

było Thibaut), padł na polu walki, zaciągnąwszy się do szeregów francuskich jako ochotnik w 70-tym roku życia. Śmierć ta przysporzyła mu jeszcze chwały w oczach jego wielbicieli, którzy go już przed tem na wysokim stawiali piedestale. Między innymi poświęcił mu gorące i pełne superlatywów wspomnienie pośmiertne w Nrze 458 (z 13 paźdz. r. 1914). „Słowa Polskiego“ p. Jerzy Bandrowski, który dziwne o nim wypisał rzeczy. I tak przyznaje on, że „nie zna życiorysu France'a“, a jednak zapewnia (na jakiej podstawie?), że „mało ludzi miało tak piękne życie“ (!). Nazywa go „człowiekiem bardzo mądrym, autorem pięknych wierszy i wspaniałych powieści — jednym z największych i najsubtelniejszych reprezentantów myśli, genialnym komentatorem życia“. Jeszcze bardziej uderza zakończenie artykułu, gdzie p. Bandrowski przyznaje wprawdzie, że sceptyk ten ze wszystkiego „potrafił zażartować“ i „kuszony swym iście gallijskim humorem na tem polu nagrzeszył niemało“, ale zarazem dodaje, że on „kochał wszystkich bogów i we wszystkich bogów wierzył“ (?!). Faktem jest raczej, że France należał do obozu skrajnych sceptyków, którzy w nic nie chcą wierzyć, do owych szyderców, o których mówi Schiller, że „dowcip wieczną toczy walkę z tem, co piękne“ i że „nie wierzy ani w Boga ani w Anioła“ [1]).

Prawda, że Anatol France wypiera się gdzieniegdzie sceptycyzmu absolutnego i mówi, że przecież w coś wierzył: „Wierzyłem przynajmniej we względność rzeczy i w następstwo zjawisk“ („Vie littéraire“, t. III. str. XI); — takiej jednak „wiary“ nie może pozbyć się i sceptyk, bo musi uznać np. za prawdę, że dzień następuje po nocy, że po deszczu tworzy się błoto. Ale dla sceptyka nie istnieją żadne prawdy bezwzględne: żadne argumenty nie przekonywają go o istnieniu Boga i duszy nieśmiertelnej, o możliwości jakiegoś poznania, wychodzącego po za obręb zjawisk. To też i „głęboki myśliciel“ France odrzuca wszelką filozofię, wszelką metafizykę, etykę, estetykę, wszelkie prawa moralne. Nie próbując zresztą nawet poglądów swoich logicznie uzasadnić, poprzestaje on na aforyzmach mniej lub więcej dowcipnych i na łatwej frazeologii, podającej wszystko w wątpliwość. Czyni on to szczególnie w dwóch dziełach swoich, zatytułowanych: „Les Opinions de M. Jérome Coignard“ i „Le Jardin d'Epicure“. Pierwsze z tych pism nazwał Juliusz Lemaitre „najbardziej radykalnym brewiarzem sceptycyzmu, jaki pojawił się od czasów Montaigne'a“.

Są zresztą w dziełach France'a i rażące sprzeczności: bardzo nawet często zaprzecza on sam sobie i nazywa białem, co kiedyindziej nazywał czarnem, albo naodwrót. Był czas, kiedy występował w obronie zakonnic i potępiał, jak należało, fanatyzm radykałów francuskich i „sekciarzy“, którzy chcieli wykreślić imię Boga ze wszystkich podręczników szkolnych i wydali wojnę „złośliwą“ i „głupią“ „ideałowi tylu osób czcigodnych“ („Vie littéraire“ t. II. str. 315—316). W tym samym jednak czasie śpiewał hymny pochwalne na cześć filozofii wieku 18-go, która „wyswobodziła umysły“ i której sceptycyzm miał w nim zawsze gorącego zwolennika. Zresztą on sam nie wahał się po latach kilkunastu stanąć w szeregach owych sekciarzy i przyłączyć do stronnictwa Combes'a. W przedmowie do zbioru mów tego przewódcy radykałów — wolnomularzy chwali France jego „zacność, stałość jego charakteru“, jego „upodobanie w prostocie, porządku i jasności“ itd.[1]). Razem z nim wskazywał France na niebezpieczeństwo, grożące rzekomo ze strony „klerykalizmu“, w ostatnich zaś czasach występował gwałtownie przeciw ustawie o trzyletniej służbie wojskowej i uczestniczył we wszystkich prawie ważniejszych manifestacyach partyi socyalistycznej bądź osobiście, bądź przesyłając komunikaty, napisane w jej duchu. Dlatego też doznawał od niej czci szczególniejszej jako „genialny autor i myśliciel“. Dzieli on ludzkość sposobem bardzo prostym na dwa obozy: na zaślepionych, dzikich albo przewrotnych stronników przeszłości i na szlachetnych, czystych, pełnych zapału, bezinteresownych pracowników dla przyszłości. Po jednej stronie stoją według niego wszyscy ci, którzy z interesu, z bojaźni albo głupoty trzymają się jeszcze niedorzecznego ideału teologicznego; — z drugiej ci, którzy zrzuciwszy stare jarzmo, wierzą tylko w rozum, w naukę, w solidarność ludzkości (por. jego „Vers les temps meilleurs“, wyd. w r. 1906). „Czy sądzicie, obywatele, że gdyby uczeni byli znali prawdziwe położenie globu ziemskiego, .. byłoby rzeczą możliwą straszyć ludzi, każąc im wierzyć, że pod ziemią jest piekło z dyabłami? Nauka wyswobadza nas od tych grubych (grossières) wyobrażeń i tych próżnych obaw, któreście wy z pewnością odrzucili daleko od siebie... Nie słuchajmy księży, którzy uczą, że c i e r p i e n i e jest rzeczą wyborną. R a d o ś ć jest dobra .. Wy obywatele, wy robotnicy powinniście podnosić umysły swoje i serca, żebyście byli zdolni, przez naukę i refleksyę, przygotować epokę sprawiedliwości społecznej i pokoju powszechnego“ (ib. str. 18—22).

Są to frazesy, nie różniące się niczem od twierdzeń, które powtarzają od lat kilkudziesięciu mowcy i dziennikarze partyi socyalistycznej i które nie przynoszą zaiste zaszczytu filozofii autora.

Próbował on także sił swoich na polu historyi, a mianowicie poświęcił jedno z dzieł swoich D z i e w i c y o r l e a ń s k i e j. („Vie de Jeanne d'Arc“ 1908). Zapewnia on, że chciał opowiedzieć jej żywot w sposób całkiem bezstronny i przedmiotowy, ale w rzeczywistości pełno jest w książce wycieczek ironicznych przeciwko świątobliwej bohaterce, które świadczą o uprzedzeniu autora, nie wierzącego w żadne czynniki nadprzyrodzone. Tak np. pisze on o niej między innemi: „Dziewczę miało więcej słuszności niż sądziło: wszystko w jej armii było zdane na łaskę Bożą... Szła ona za radami swoich głosów i postanowienia jej były zależne od n a j m n i e j s z e g o s z m e r u, k t ó r y p o w s t a w a ł w j e j u s z a c h“ (por. t. I, str. 309 409, 413; t. II. str. 73—74, 280 itd.). Wychodząc z założenia, że nauka musi odrzucić wszelką cudowność, chciałby autor wytłumaczyć wielkie dzieło, dokonane przez Joannę, wpływami środowiska, w którem się obracała. Misya jej odpowiadała życzeniom partyi potężnej i zręcznej i mu-

[1]) „Krieg führt der Witz auf ewig mit dem Schönen,
Er glaubt nicht an den Engel und den Gott“
(„Die Jungfrau von Orleans“).

[1]) Emile Combes, Une campagne laique, 1902—1903, préface par Anatole France. Paris, 1904, str. V—VI.

siała być wynikiem sugestyi: myśl tę musiał jej poddać jakiś nie znany kapłan współczesny. Zdawało się jej, że wywiera wpływ na doradców króla, a tymczasem oni wpływali na nią i pobudzali ją do działania. Tak się wyjaśnia cała „tajemnica Joanny d'Arc".

Znana to metoda, usiłująca sprowadzić znaczenie wielkich ludzi i wielkich wydarzeń historyi do działania czynników powszednich, poziomych i do wpływów środowiska. Ale fakta mówią nam co innego: mówią one, że położenie Francyi zmieniło się zupełnie od czasu, gdy na widownię dziejową wystąpiła Joanna d'Arc; naród, który już prawie leżał w agonii, pokonany przez potężnych najezdców, obudził się do nowego życia, dzięki temu, że prosta pasterka potrafiła wlać swoją wiarę w upadłe na duchu rycerstwo i jego wodzów i poprowadzić ich do zwycięstwa. To nie da się wyjaśnić w sposób całkiem „naturalny", jak sądzi France wraz z innymi przeciwnikami wszelkiej cudowności.

France jest także autorem licznych powieści i nowel, przez wielu krytyków ogromnie wychwalanych: Lys rouge, Thais, La Rotisserie de la reine Pedauque, Clio, Crainquebille, Les Contes de Jacques Tournebroche, Les sept femmes de la Barbe-Bleue, Les Desirs de Jean Servien itd. Większa część tych utworów tchnie wyrafinowaną zmysłowością — pod osłoną wyrażeń na pozór przyzwoitych i wykwintnego stylu, — trzeba też ją zaliczyć do literatury, podkopującej wiarę i moralność.

Jeszcze słów kilka o recenzyach, których France napisał bardzo dużo: nie są to po największej części recenzye we właściwem słowa tego znaczeniu, ale raczej swobodne pogadanki o różnych materyach, które krytykowi podobało się poruszyć z okazyi pojawienia się jakiegoś nowego dzieła. Pisząc np. o drugim tomie „Historyi Izraela" Renana, nie stara się France ocenić przedmiotowo wartości tego dzieła i zapoznać czytelnika z jego treścią, ale mówi o stanie swej duszy, o marzeniach, jakie w niej wywołało opowiadanie autora („quand je songeais entre les pages"[1]). Takie „oceny" można pisać, nie przeczytawszy nawet kilku stron książki, z której treści zdaje się rzekomo sprawę.

Poprzestaję na tych kilku uwagach krytycznych, nie mogąc wdawać się na tem miejscu w rozbiór obszerniejszy działalności literackiej Anatola France. *X. P.*

Krótka charakterystyka narodu włoskiego.

Gdyby wielkie tradycye przeszłości i utwory genialnych mistrzów mogły formować charakter narodu, musieliby Włosi należeć do tych, które odznaczają się najszczytniejszymi przymiotami ducha. W każdej dziedzinie sztuki i umiejętności wydali oni przodowników i twórców, których dzieła mają znaczenie wiekopomne i wywarły wpływ ogromny na całą ludzkość. W każdem prawie ich mieście są kościoły i inne gmachy przedziwnej wspaniałości, są muzea, które ściągają corocznie i zawsze ściągać będą niezliczone rzesze miłośników piękna. A nadto może naród ten poszczycić się długim pocztem Świętych i wielu innych mężów, którzy jaśnieli cnotą i mądrością. Nawet wśród warstwy najniższej napotyka się tam dużo inteligencyi, ujmującą grzeczność, miłą swobodę w obejściu. Mniej także daleko niż gdzieindziej odczuwa się we Włoszech różnicę stanów: klasy wyższe nie odgradzają się tak wyniośle od niższych, jak np. w Anglii.

Ale obok tych przymiotów dobrych wybujały tam i wielkie wady. Miasta włoskie, które zdobyły sobie taką potęgę w wiekach średnich, że mogły stawić czoło nawet cesarzom rzymskim, powodowały się w polityce swojej chciwością kupiecką i staczały między sobą zacięte boje zamiast wspomagać się wzajemnie, zjednoczyć swe siły dla dobra całego kraju, bronić chrześcijaństwa przeciwko Turkom. I tak w r. 1284 złamała potęgę Pizy, która panowała nad Sardynią, Korsyką i Elbą, posiadała osobną dzielnicę w St. Jean d'Acre i w Konstantynopolu i ogromne bogactwa, wojna z Genuą. Jedno i drugie miasto chciało panować nad morzem śródziemnem i zagarnąć cały handel ze Wschodem. Dziś Piza jest miastem cichem, ubogiem liczącem tylko 30.000 mieszkańców i tylko sławna jej katedra, freski w Campo santo i inne dzieła sztuki pozostały jej jako dawnej chwały pomniki. Podobnie inne miasta zadawały sobie wzajemnie najcięższe ciosy (jak w latach 1379—81 Wenecya w wojnie z Genuą), dążąc ustawicznie do rozszerzenia swych posiadłości i swego handlu.

Nadto rozdzierały je walki wewnętrzne pomiędzy stronnictwami: we Florencyi niszczyły się wzajemnie partye szlacheckie Gwelfów i Gibellinów, a potem Białych i Czarnych (ofiarą tej wojny domowej padł także największy poeta włoski, Dante Alighieri, którego wygnano z ojczystego miasta i zmuszono do smutnej tułaczki). W Wenecyi zagarnęła pod koniec XIII. wieku najwyższą władzą pewna liczba rodzin najzamożniejszych, zapisanych w „księdze złotej", a kiedy w r. 1310 stłumiono rokosz, rodzin szlacheckich, nie dopuszczonych do grona panującej oligarchii, ustanowiono „Radę dziesięciu", która miała czuwać nad bezpieczeństwem państwa, stała się jednak władzą groźną dla wszystkich obywateli i dopuszczała się okrucieństw. Oskarżonego przed nią o jakąś zbrodnię spełnioną lub zamierzoną nie stawiano wobec świadków, nie pozwalano mu wezwać obrońcy ani widywać się z rodziną. Większy jeszcze postrach budziło wybierane przez Radę dziesięciu kolegium trzech „inkwizytorów państwa", którzy posiadali władzę nieograniczoną i nie potrzebowali przed nikim zdawać sprawy ze swego postępowania. Kto wywołał u nich podejrzenie, znikał zwykle w sposób zagadkowy i kończył życie (jeżeli go uznano winnym jakiegoś występku) w jednem z owych straszliwych więzień, które dotąd oglądać można w podziemiu wspaniałego pałacu dożów. Ale tym sposobem ochroniła się rzeczpospolita wenecka przed losem, jaki spotkał inne miasta, którym ambitni obywatele albo zaborcy narzucili jarzmo. Lud zaś pogodził się z panowaniem oligarchów, ponieważ mógł gromadzić bogactwa i korzystać z potęgi, zdobytej przez miasto ojczyste; — „kwestyi społecznej" nie było w Wenecyi, bo robotnicy mieli się dobrze i byt ich był zabezpieczony.

[1]) „La vie litteraire", t. II. str. 317. Por. doskonały artykuł Brunetière'a p. n. „La critique impressioniste" w „Revue des deux mondes" z 1 go stycznia 1891.

Dziś owe dumne pałace, wzniesione nad „wielkim kanałem", czynią po większej części wrażenie bardzo smutne, bo są opuszczone przez dawnych zamożnych właścicieli, bo mury ich są zczerniałe i zabrudzone, okna zabite deskami, albo też są zamienione na hotele. Dzisiejsza Wenecya jest miastem zubożałem i żyjącem głównie z pieniędzy zwiedzających ją podróżników.

Medyolan, który niegdyś tak dzielnie bronił swojej wolności przeciw Hohensztaufom, poddał się pierwszy z miast włoskich jedynowładztwu, do czego doprowadziły walki między stronnictwami. W połowie XIII. wieku bronił sprawy ludu przeciwko szlachcie Marcin della Torre, którego też obrano w r. 1257. wodzem i panem miasta („capitano e signore"). Wkrótce jednak musiała jego rodzina ustąpić miejsca Viscontim, między którymi byli okrutni despoci (jak Lucchino, Barnaba, Jan Galeazzo, syn jego Jan Marya i inni). Władcy ci zdobyli Pawię, Pizę, Bolonię, Perugię, Assyż, Brescię, Genuę. Po nich objął władzę nad Medyolanem sławny „condottiere" Franciszek Sforza. Kondotyeryzm przyczynił się bardzo do rozpasania moralnego, jakie wówczas zapanowało we Włoszech. Miasta bowiem i państewka tamtejsze używały do wojny najemników, którzy oddawali swoje usługi najlepiej płacącym bez żadnego względu na słuszność ich sprawy; po skończonej kampanii, na którą ich zgodzono, nie wahali się często ci ludzie zwrócić swego oręża przeciwko swoim panom dawniejszym, nie krępując się żadnym skrupułem, żadnem pojęciem honoru. I Franciszek Sforza służył różnym panom, ale zostawszy w końcu księciem Medyolanu (w r. 1450), okazał się władcą roztropnym i umiarkowanym.

Większa jednak część owych książąt, którzy zagarnęli władzę w miastach włoskich, nie krępowała się względami moralnymi i nie wywierała wpływu korzystnego na charakter ludności, chociaż wielu z nich dbało o jej dobrobyt materyalny, o utrzymanie spokoju w państwie, popierało umiejętności i sztuki piękne. Myśli przewodnie, któremi kierowali się w polityce, ujął w system Macchiavelli w sławnem dziele swojem p. n. „Il principe". Dla utrzymania władzy nieprawnie nabytej i dla rozszerzenia swych posiadłości, dopuszczali się okrucieństw i mordów. W końcu zdobyły sobie przewagę nad tymi władcami: państwo kościelne i królestwo neapolitańskie, Florencya, Medyolan i Wenecya, które strzegły równowagi politycznej w kraju, trzymając się wzajemnie na wodzy.

W państwie kościelnem wybuchały od czasu do czasu rozruchy i rokosze, które podkopywały powagę papiestwa i wielką szkodę wyrządzały Kościołowi. I tak w r. 1297 powstała przeciw Bonifacemu VIII. potężna rodzina Colonna. W czasie „niewoli awiniońskiej" zapanowała w Rzymie anarchia. W r. 1347 i 1354. usiłował przywłaszczyć sobie najwyższą władzę trybun ludu Cola di Rienzo. Wielu monarchów katolickich toczyło wojnę z Papieżami i zabierało ich ziemie. Zresztą jeżeli gdzie, to w samym Rzymie musiał szkodzić religii bardzo ów element ludzki, występujący zawsze w sposób mniej lub więcej rażący w dziejach Kościoła: polityka niektórych Papieży, grzechy Aleksandra VI. i innych, obojętność dla sprawy Bożej, okazywana przez tylu dostojników Kuryi, — to wszystko osłabiło wiarę ludności i budziło sceptycyzm.

W królestwie neapolitańskiem zatruwali ducha narodu tacy monarchowie, jak wróg Kościoła Fryderyk II, jak okrutnik Karol d'Anjou, jak Joanna I, którą (w r. 1382) kazał zamordować Karol III (z Durazzo). Mało troszczyli się także o dobro kraju królowie hiszpańscy, którzy panowali nad nim przez cztery wieki (do r. 1860). Dotychczas Włochy południowe i Sycylia należą do tych prowincyi włoskich, w których religia i cała wogóle kultura stoi na poziomie najniższym, w których także duchowieństwo najmniej okazuje gorliwości apostolskiej.

Do upadku wiary przyczynił się we Włoszech, więcej jeszcze niż w innych krajach, ów potężny prąd umysłowy, zwany „humanizmem pogańskim". Pierwsi przedstawiciele humanizmu (Dante, kardynał Bessarion itd.), byli dobrymi katolikami, ale późniejsi przesadzali w swojem uwielbieniu starożytności klasycznej, przejęli się jej duchem, pisali dzieła, obrażające moralność [1]). Zaniedbywali oni treść dla formy, przeceniali zręcznych naśladowców Cycerona, szydzili zaś z filozofii i teologii scholastycznej dla jej „barbaryzmów", szerzyli sceptycyzm, epikureizm, niewiarę. Piotr Pomponatius, profesor w Padwie i Bolonii († 1526), twierdził otwarcie, że istnienie Opatrzności i nieśmiertelność duszy ludzkiej są ze stanowiska filozoficznego więcej niż wątpliwe i tylko można je uznawać jako „prawdy teologiczne". Wawrzyniec Valla (1407—56) w piśmie swojem „O rozkoszy i dobru prawdziwem" wyszydzał dziewictwo i życie zakonne i głosił „emancypacyę ciała", a w rozprawie „de falso credita et ementita Constantini donatione" dowodził (z polecenia króla neapolitańskiego Alfonsa I.), że ta darowizna jest wymysłem i że Papież nie ma żadnego prawa do Rzymu i wogóle do władzy świeckiej. Niektórzy humaniści przepowiadali nawet, że wkrótce ludzkość cała wróci do pogaństwa.

Ten sam duch objawił się także w sztuce ówczesnej, a zwłaszcza w malarstwie, które z szczególnem upodobaniem wyobrażało nagie ciała niewieście i sceny mitologiczne, silnie przemawiające do zmysłów. Nawet w dziełach, które mają przedstawiać Świętych, przyćmiewa nieraz treść duchową kult piękności cielesnej [2]).

Z filozofów włoskich 15-go i 16-go wieku zasłynęli najwięcej: Platonicy Marsiglio Ficino i Jan Pico de la Mirandola, panteista Giordano Bruno i Dominikanin Tomasz Campanella, który był wprawdzie katolikiem wierzącym, a nawet marzył o monarchii uniwersalnej, którą miał rządzić Papież z pomocą wojska hiszpańskiego, ale wypowiadał także myśli fantastyczne, niezgodne ani

---

[1]) Tu należą: dyalog „De luxuria" Wawrzyńca Valli, profesora w Rzymie i Neapolu († 1465), Hermaphroditus Antoniego Beccadelli, Facetiae Poggia, pisma Filelfa (De jocis et seriis, Convivia Mediolanensia, Satyrae), Porzella de Pandoni, Leonarda Bruni'ego i inne. Do pionierów humanizmu należał także Boccaccio, którego „Decamerone" zawiera również opowiadania, wkraczające w dziedzinę pornografii.

[2]) Przesadzają jednak bardzo ci, którzy (jak René Schneider w książce p. n. „Rome. Complexité et Harmonie". Paris. 1907, str. 135 nn.), dopatrują się poganizmu i panteizmu nawet w Loggiach watykańskich, na tej podstawie, że Giovanni da Udine ozdobił ich ściany malowidłami, wyobrażającemi różne zwierzęta! Wszakże i sztuka chrześcijańska ma prawo wciągać w swój zakres cały świat widzialny, — do najzwyklejszych ozdób katedr gotyckich należą postaci zwierzęce.

z rozumem, ani z nauką Kościoła. Według niego wszystkie jestestwa mają duszę, — posiada ją nawet przestrzeń, bo ona wzdryga się przed próżnią i pragnie jej wypełnienia; wszystkie ruchy swobodne tworów przyrody wynikają z pobudek sympatyi lub antypatyi. W utopijnem jego „państwie słońca“ ma panować komunizm (jak u Platona): ludzie nie mają tam własnych mieszkań, własnych żon, własnych dzieci, ale zwierzchność państwa zajmuje się hodowlą młodzieży.

I wieki ostatnie wydały dość liczny poczet filozofów we Włoszech (Vico, Genovesi, Beccaria, Romagnosi, Galluppi, Rosmini, Gioberti, Mamiani, Vera, Spaventa, Lombroso i inni), ale między nimi jest bardzo niewielu takich, którym można przypisać większe znaczenie dla dziejów myśli ludzkiej. Są to przeważnie zwolennicy systemów, wymyślonych we Francyi, w Niemczech i Anglii. W drugiej połowie 19-go wieku i w naszym rozwijają tam filozofię neotomistyczną: Liberatore, Cornoldi, Palmieri, Sanseverino i inni.

Wszelako życie religijne i moralne narodu włoskiego musiało ucierpieć bardzo wskutek przewrotów rewolucyjnych, jakie dokonały się tam w wieku 19-tym. Kiedy republikanie francuscy wtargnęli do Włoch, zaczęli tam swoje gospodarstwo od zniesienia kongregacyi religijnych i konfiskaty większej części majątku kościelnego. Napoleon gwałcił konkordat, zawarty z Papieżem i żądał od niego zupełnej uległości, zabrał mu Ankonę, Benewent, Pontecorvo, księstwo Urbino, a w r. 1808 wojska francuskie zajęły Rzym, w końcu wywieziono Piusa VII, kiedy ten ogłosił bullę ekskomunikacyjną przeciw grabieżcom dziedzictwa Piotrowego (w której imię Napoleona nie było wymienione) i trzymano go w niewoli (najpierw w Sawonie a potem w Fontainebleau). W taki sposób podeptał dumny despota wszelkie prawa Boskie i ludzkie, — powaga Stolicy Ap. była na nowo w oczach ludu zachwianą. A potem atakowano ją z największą zawziętością przez całe stulecie w imię „jedności Włoch“. Powstał tajny związek polityczny pod nazwą „carbonari“ (węglarze), którego najbliższym celem było uwolnienie Włoch od rządów cudzoziemskich, który jednak uprawiał także agitacyę przeciw Kościołowi w duchu masoneryi. Związek ten wywołał w r. 1820 rewolucyę w Neapolu i na Sycylii a w r. 1821 w Piemoncie. Naprożno przestrzegali Papieże rządy państw europejskich przed tymi związkami, które zjednywały sobie nawet książąt (między innymi późniejszego cesarza Napoleona III). W r. 1831 wybuchło powstanie w Bolonii, w Urbino, Pesaro i Ferrarze, w księstwach Parmy i Modeny. Egzaltowani patryoci wskazywali na Austryę i na papiestwo jako na główne zapory, przeszkadzające zjednoczeniu Włoch. W Bolonii wydał prezydent rządu tymczasowego Vicini manifest przeciw „sprzecznemu z Pismem św. panowaniu księży“. Adwokat Mazzini z Genui założył tajny związek „Młodych Włoch“, który propagował namiętnie hasło zjednoczenia. Toskania dawała u siebie schronienie demagogom, a Piemont postanowił użyć ich dla własnych celów. Reformy Piusa IX. i swobody, jakie nadał swoim poddanym, wywołały entuzyazm nie tylko w Rzymie, ale w całej Europie, nie powstrzymały jednak agitacyi rewolucyjnej, która nie straciła z oczu właściwych celów swoich. Mazzini wzywał Papieża (w r. 1847), żeby stanął na czele ruchu rewolucyjnego, gdyż w przeciwnym razie ten zaprze się krzyża i pójdzie własnymi torami. W r. 1848 musiał Pius IX. opuścić Rzym i schronić się do Gaety, a 9 lutego 1849 konstytuanta rzymska ogłosiła zniesienie władzy świeckiej Papieża. Rządy objął tryumwirat, złożony z Mazziniego, Saffiego i Armelliniego, rabowano kościoły, mordowano księży, dobra kościelne zagrabiono jako „własność narodową“.

Wróciwszy do Rzymu, po stłumieniu rokoszu (12 kwietnia 1850), pracował Pius IX. z całem poświęceniem dla dobra swego państwa i całego Kościoła, ale duch rewolucyjny zanadto już spotężniał, żeby można było spodziewać się uspokojenia trwałego umysłów. W Parmie zamordowano w r. 1854 księcia Karola III, w Neapolu panowało rozjątrzenie przeciw Ferdynandowi II, którego rządy były absolutne a nieudolne. Główne jednak ognisko rewolucyonistów było w Piemoncie, który zyskał sobie poparcie Napoleona III, zwyciężył z jego pomocą Austryę i zagarnął państwo papieskie. Skonfiskowano dobra kościelne, usunięto religię ze szkół publicznych, a za to otworzono na oścież bramy wiecznego miasta dla wszystkich błędów i herezyi, szerzonych przez rozkiełzaną prasę i literaturę. Nie brakło i wśród duchowieństwa odstępców, którzy (jak np. Romolo Murri) pracowali skutecznie nad rozszerzeniem niewiary. A jeżeli do tego wszystkiego dodamy braki w wykształceniu kleru, obojętność i powierzchowność, z jaką wielka jego część spełnia czynności religijne i wszystkie inne obowiązki, — złe pojmowanie patryotyzmu przez wielu katolików, którzy także piszą się na hasło, że Rzym musi pozostać stolicą zjednoczonej Italii, — nizki poziom prasy katolickiej itd., — to potrafimy sobie łatwo wytłumaczyć, czemu we Włoszech dzisiejszych tak rozszerzony jest sceptycyzm religijny i takie tam panuje rozprzężenie moralne nawet w mniejszych miastach i wśród ludu wiejskiego, który żyje w nędzy i musi masami szukać zarobku za granicami kraju.

Polityka zewnętrzna zjednoczonej Italii dąży do coraz nowych zdobyczy i chciałaby wzorować się na Rzymie starożytnym, nie licząc się ani ze szczupłością swoich sił i zasobów, ani z wymaganiami moralności, to też ciężkie ją spotykają zawody.

Piśmiennictwo i sztuki piękne nie wydają od dawna dzieł, któreby przypominały genialną twórczość epoki Odrodzenia: brak wszelkich myśli głębszych, wszelkiego ideału, naśladowanie wzorów obcych, zwłaszcza francuskich, przewaga strony technicznej nad duchową, — to są znamiona dzisiejszej sztuki włoskiej, — chociaż i w w. 19-tym i w ostatnich czasach pojawiły się tam talenty bardzo wybitne, jak rzeźbiarze Marchesi, Tenerani, Dupre, Fedi, Vela, malarze Morelli, Segantini, Favretto i inni. Dziś Włosi nie tylko mało tworzą rzeczy prawdziwie cennych, ale szpecą piękność miast swoich, a szczególnie Rzymu, przez nowe, banalne budowle i liche pomniki Wiktora Emanuela i innych twórców lub ministrów zjednoczonej Italii.

Naród ten jednak odegrał w dziejach rolę bardzo ważną i oddał wielkie usługi religii, Kościołowi i cywilizacyi. Można też żywić nadzieję, że prędzej czy później podniesie on się na nowo z dzisiejszego upadku i że ludzkość będzie miała jeszcze dużo do zawdzięczenia talentom, którymi go Bóg obdarzył.

X. N.

Wrażenia z podróży.

Z Rawenny do Bari.

Z ogromnej liczby turystów, którzy co roku przybywają do słonecznej Italii, bardzo niewielu stosunkowo zbacza do Rawenny, cichego dziś miasteczka, liczącego tylko 12.000 mieszkańców. A przecież Rawenna posiada zabytki bardzo cenne sztuki kościelnej z czasów, kiedy miała większe znaczenie niż dzisiaj. Za Augusta była drugim portem wojennym cesarstwa rzymskiego (dziś jest oddalona od morza o 7—8 kilom.), a kiedy Gotowie zachodni wtargnęli do Włoch, uczynił ją Honoryusz swoją rezydencyą cesarską, ponieważ była, jak sądzono, „niezdobytem" miastem. Tu rezydował także król Gotów wschodnich Teodoryk, zdobywszy Rawennę po długiem, bo trzy lata trwającem oblężeniu, (w. r. 493), aż do śmierci swojej (w r. 526). Była więc wtedy Rawenna stolicą ogromnego państwa, bo cała Italia i Sycylia, a nadto Panonia, Dalmacya, Istrya, Noryk, Recya, ziemie od Alp do Rodanu uznawały władcą swoją Teodoryka, który przewodził także wszystkim książętom germańskim. Za cesarza Justyniana była Rawenna małem Bizancyum. W w. 5 i 6 wzniesiono tu budowle, które mają swój całkiem odrębny charakter i należą do najwspanialszych na ziemi włoskiej. Kościół San Vitale, zbudowany w latach 526—547 (zrestaurowany starannie 1898—1902) przypomina świątynie centralne wschodnie, ma kształt ośmiokąta i dekoracyę mozaikową z r. 545: w półkopule apsydy siedzi na tronie, nazłocistym tle, Chrystus młodociany po nad rzekami rajskiemi; obok Niego dwóch Aniołów, św. Witalis, który odbiera od Niego koronę, arcybiskup Ecclesius, założyciel kościoła, z tegoż modelem. Poniżej kroczą ku sobie z jednej strony cesarz Justynian z arcybiskupem Maksymilianem (który skończył budowę kościoła) i innymi kapłanami, urzędnikami dworskimi i gwardzistami, — z drugiej strony cesarzowa Teodora z urzędnikami i damami dworskiemi. Nadto podziwiamy tu jeszcze szereg innych dobrze zachowanych mozaik wyobrażających sceny z Pisma św. Jeszcze piękniejsze są mozaiki z r. 504 i 506 w kościele Sant'Apollinare nuovo, do którego przeniesiono relikwie tego Świętego w r. 856 z zagrożonego przez Saracenów Sant'Apollinare in Classe: ta bazylika starochrześcijańska była niegdyś główną ozdobą portu wojennego Classis; dziś stoi osamotniona, o 5 kilom. oddalona od Rawenny. Najwspanialsze zaś są mozaiki w baptisterium S. Giovanni in Fonte i w mauzoleum, które cesarzowa rejentka Galla Placidia kazała około r. 440 zbudować dla siebie i swoich krewnych.

W Rawennie zakończył żywot swój tułaczy i pełen doświadczeń bolesnych Dante Alighieri w r. 1321 i tu mu wystawiono grobowiec (w r. 1482) przy Via Dante, zwiedzany ze czcią przez wszystkich wielbicieli wielkiego poety; dość licha płaskorzeźba na sarkofagu przypomina jego charakterystyczne rysy, a po nad nią zamieszczono wizerunki czterech mężów, którym najwięcej zawdzięczał (Wergili, Brunetto Latini, Cangrande, Guido da Polenta, który mu dał u siebie gościnę w Rawennie).

Zdążając z Rawenny najprostszą drogą do Bari, jedzie się przez Rimini, Ankonę, Loreto i Foggię (że wymienię tylko miasta, w których się zatrzymałem).

W Rimini jest sławny kościół San Francesco, pierwotnie gotycki, przebudowany w połowie 15-go wieku. w stylu wczesnego renesansu, według planu Alberti'ego, jednego z pierwszych architektów owego czasu. Fasada (nie wykończona w górnej części) ma wielkie znaczenie jako dzieło najwcześniejsze nowej sztuki włoskiej; zresztą artysta mógł tylko częściowo plan swój wykonać. Obecnie restaurują ten piękny kościół, ale w sposób, który może tylko politowanie obudzić u miłośników sztuki: dość powiedzieć, że prezbiteryum oblepiono złotymi papierkami i gwiazdkami na tle niebieskiem! Są to niewątpliwie ozdoby bardzo tanie, ale szkoda na nie każdego grosza!

Ankona położona jest bardzo pięknie nad brzegiem morza pomiędzy przylądkami Monte Astagno i Monte Guasco. Stara katedra romańska San Ciriaco, stojąca na wyżynie, z której roztacza się widok wspaniały, posiada jeszcze 10 kolumn ze świątyni Wenery, na której fundamentach zbudowano ją w w. 12-tym. Kościół San Francesco ma piękny portal z połowy 15-go wieku. W San Domenico jest jeden obraz Tycyana (Madonna ze św. Franciszkiem i Błażejem). W muzeum jest bogaty zbiór starożytności i galerya obrazów, w której jest kilka malowideł sławnych mistrzów (Tycyana, Lorenza Lotta, Crivelli'ego, Guercina), ale nie są to arcydzieła pierwszorzędne. Na „molo" (wyraz ten znaczy tyle, co tama, grobla) zachował się dotąd łuk tryumfalny Trajana z r. 115 p. Ch. Wogóle niema w Ankonie takich osobliwości, jakie ściągają do innych miast włoskich tysiące turystów co roku, ale warto ją raz zwiedzić, kiedy kto przez nią przejeżdża; a bardzo wielu tędy prowadzi droga: jednych z Rjeki (Fiume) do Rzymu, drugich do Loreto, które oddalone jest od Ankony tylko 228 klm.

Loreto zwiedzają codziennie liczne rzesze pielgrzymów, żeby się pomodlić w domku nazaretańskim, który stoi w środku kościoła pod kopułą a jest cały z zewnątrz pokryty pięknemi płaskorzeźbami Andrzeja Sansovino i kilku jego współpracowników (Tribolo, Bandinelli, Aimo i inni). Z głębokiem wzruszeniem odprawia się Mszę św. w tym domku, — z żywem przeświadczeniem, że zarzuty podnoszone przeciw autentyczności tego domku nie mają podstawy. Przykrego jednak uczucia doznaje tu przybysz wierzący, gdy słyszy o braku gorliwości tutejszego duchowieństwa, które nie uczy prawie wcale religii, a kazania głosi tylko w wielkim poście co piątku i w czasie nowen do Matki Boskiej (o czem już wspomniałem w Nrze 20 G. K. z r. 1914).

Foggia jest stolicą prowincyi Capitanata i liczy 50.000 mieszkańców; była niegdyś stolicą cesarza Fryderyka II. Myślałem więc, że warto zobaczyć i to miasto, chociaż je omija ogół turystów. Ale doznałem tu samych tylko bardzo niemiłych wrażeń. Przyjechawszy w nocy (około 10-ej), kazałem się zawieść fijakrowi do hotelu Italia, który mi jakiś człowiek zachwalał (zwykle trzymam się pod tym względem wskazówek Baedekera, wiedząc z doświadczenia, że można na nich polegać, ale w ustępie o Foggii nie poleca on żadnego hotelu). Był to albergo brudny i wstrętny, a nadto kazano mi zapłacić za pokój 7 lir., ale nie chciałem w nocy szukać lepszego hotelu, zapewniano mnie zresztą, że wszystkie są przepełnione

Więc zostałem tam na noc, chociaż z odrazą. Przekonałem się zresztą na drugi dzień, że tam niema wcale hoteli porządnych i większych, ale może przecież znalazłoby się gdzieś lepsze pomieszczenie niż w „Italii“. Miasto nie ma nic ponętnego dla podróżników.

Bari (starożytne Barium) jest miastem portowem i stolicą prowincyi, liczy przeszło 73.000 mieszkańców. Dzieli się na dwie części o bardzo różnym wyglądzie: nowa tworzy kwadrat poprzecinany ulicami prostemi i czystemi, stara zaś ma ulice wąskie, pokręcone i brudne, ale chlubi się posiadaniem starego kościoła św. Mikołaja (zbudowanego w latach 1087—1139) i relikwii tego Świętego, którym cześć oddaje po roku wielu pielgrzymów a między tymi dużo Rosyan. Spoczywają one w grocie, nad którą postawiono piękny i bardzo kosztowny ołtarz srebrny; przez otwór, znajdujący się pod ołtarzem widać kość Świętego, z której sączy się kroplami płyn o własnościach cudownych („manna di S. Nicola“). Po za chórem wzniesiono w r. 1593 grobowiec dla Bony, małżonki króla polskiego Zygmunta Starego, która w mieście tym zmarła w r. 1558 jako ostatnia władczyni samodzielnego księstwa Bari (połączonego w r. 1588 z Neapolem). Grobowiec jest wykonany w stylu barokowym i miał imponować swoimi rozmiarami — ale nie można mu przyznać większego waloru artystycznego ani charakteru religijnego. Jednakowoż dla nas Polaków ma on wartość, bo przypomina obcym nasz kraj i nasze dzieje swoim napisem: „Sigismundi I. potentissimi regis Poloniae uxor“ i wizerunkiem św. Kazimierza. Innych pamiątek polskich szukalibyśmy daremnie w tych stronach.

Ponieważ kościół S. Nicola należy od dawnych czasów do czterech „basiliche palatine“ korony włoskiej, znajdujących się w Apulii (inne są w Acquaviva dei Fonti, Altamura i Monte Santangelo), dlatego zawieszono i tam portret króla, na który z dumą wskazuje oprowadzający mnie kościelny. W skarbcu kościoła są różne relikwie i cenne pamiątki, między innemi korona, której tu użyto przy koronacyi króla normandzkiego Rogera (w r. 1071 zdobył miasto Robert Guiscard), cesarza Henryka VI i jego żony Konstancyi, Manfreda i Ferdynanda I. aragońskiego. Z innych osobliwości miasta wypada jeszcze wymienić zamek, zbudowany przez cesarza Fryderyka II. i dobrze dotąd zachowany. *X. A. P.*

KRONIKA KOŚCIELNA.

Księża włoscy w szeregach. Ze statystyki, sporządzonej na polecenie Wikaryusza polowego X. Baetolomasi, pokazuje się, że w wojsku włoskiem służy obecnie aż 19.320 księży, z których tylko 745-u pracuje na stanowisku kapelanów wojskowych. Nadto przeznaczono część ich do służby sanitarnej, około 2—3 tysięcy; a więc przeszło 15.000 musi uczestniczyć w krwawem rzemiośle wojennem z bronią w ręku. Ustawy włoskie obecne nie uwalniają od tej służby żadnego z kapłanów, ani nawet biskupów i kardynałów. Do r. 1867 przysługiwało jeszcze biskupom prawo reklamowania pewnej liczby duchownych jako koniecznie potrzebnych w dyecezyi, a do r. 1873 wolno było księżom najmować sobie za pieniądze zastępców, którzy za nich pełnili służbę. Dziś te przywileje są zniesione tak samo, jak we Francyi, gdzie walczy teraz około 30.000 księży na polach bitew, przez co większa część parafii, zwłaszcza wiejskich, pozbawiona jest pasterzy. Może jednak teraz przecie odczuje ten stan rzeczy wielu z tych, którzy sądzili, że mogą obchodzić się całkiem bez księży!

Ksiądz ukarany za słowa prawdy. Organ socyalistów „Avanti“ donosi, że w miasteczku toskańskiem Rocca San Casciano skazano jednego z księży włoskich na dwa miesiące więzienia i grzywnę w kwocie 500 lir. za „rozszerzanie fałszywych wiadomości“. Powiedział bowiem, że „straty nasze w wojnie z Austryą są ogromne, że nasi ponieśli ciężką klęskę, że zatopiono dwa nasze okręty, przyczem zginęło dużo ludzi i materyału i że cesarz Franciszek Józef jest zacnym człowiekiem“. To uznał sąd, broniący prawdy i sprawiedliwości, za „wieści kłamliwe“, za które należało ukarać przykładnie kapłana niechętnego polityce zdobywczej i zdradzieckiej obecnego rządu!

Ś. p. kardynał Benedetto Lorenzelli. Jeden kardynał po drugim żegna się z tym światem w tym ciężkim roku. Przed kilku dniami zmarł w San Miniato koło Florencyi po długiej chorobie kard. Lorenzelli. Urodz. w r. 1853 w Badi koło Bolonii, został, młodym jeszcze będąc kapłanem, profesorem filozofii w kolegium Propagandy w Rzymie, a potem rektorem nowo założonego kolegium czeskiego. Od r. 1893 pracował jako nuncyusz w Hadze, w Monachium i w Paryżu, skąd go wydalono za granicę w r. 1904, po zerwaniu stosunków między Francyą a Watykanem. W r. 1907 otrzymał godność kardynalską. Jako prefekt Kongregacyi studyów przyczynił się skutecznie do nowego ożywienia filozofii i teologii scholastycznej, którą też zbogacił kilku podręcznikami. Zorganizował na nowo Akademię św. Tomasza. Był nadto członkiem Propagandy, Kongregacyi Indeksu i Obrzędów. Śmierć jego pozbawiła św. Kolegium jednego z najwybitniejszych jego członków. Teraz pozostało już tylko 25 kardynałów narodowości włoskiej, a 30 innych narodowości. *R. i p.*

Z Węgier. Ś. p. kardynał Klaudyusz Vaszary. D. 3 b. m. zmarł po krótkiej słabości w Balaton-Füred sędziwy kardynał Vaszary, urodzony w r. 1832 w Keszthely (dyec. Veszprim). Odbywając studya gimn. u Benedyktynów, wstąpił do ich kongregacyi w r. 1847 jako nowicyusz, a przyjąwszy święcenia kapłańskie (w r. 1855), uczył historyi w kilku gimnazyach, kierowanych przez tę kongregacyę. Od r. 1869—1885 był dyrektorem gimnazyum w Raab. W r. 1885 zamianowany opatem, a w r. 1891 arcybiskupem w Granie, uzyskał tem samem godność księcia prymasa Kościoła węgierskiego. Na pierwsze lata jego rządów przypadły ciężkie walki natury kościelno-politycznej, w których musiał bronić wraz z całym episkopatem węgierskim praw katolików, — niestety jednak bez pożądanego skutku. W r. 1893 kreował Go Leon XIII kardynałem. W tym samym roku dokonał na nim oddalony służący zamachu morderczego, ale uratował mu życie sekretarz jego, dziś biskup sufragan, Dr. Kohl. W ostatnich latach jego rządów czyniły mu władze świeckie różne zarzuty, co spowodowało jego rezygnacyę z arcybiskupstwa (w listopadzie r. 1912). Od tego czasu usunął się w zacisze ustronne, w którem też zakończył życie. *R. i. p.*

Walka o kościoły we Francyi. Przyjęcie ustawy separacyjnej sprowadziło następstwa, przez twórców jej nie przewidziane i dla nich samych niemiłe. Według tej ustawy mieli obywatele francuscy wszystkich wyznań skupiać się w stowarzyszeniach, których celem miało być utrzymywanie kultu religijnego i świątyń, oddanych im na to przez państwo. Wiadomo jednak, że Pius X, odrzu-

cając ustawę, zabronił zarazem katolikom zakładania takich stowarzyszeń i że dlatego nigdzie ich niema. Odrzucenie ustawy przez Papieża wywołało wielką konsternacyę wśród większości rządzącej dziś we Francyi. Ówczesny prezydent ministrów Clemenceau nie wiedział, co zrobić; chciał sobie pomódz, rzucając groźbę, że zabierze katolikom wszystkie kościoły, ale od wykonania tej groźby powstrzymała go obawa, że to wywołałoby walkę religijną dla republiki niebezpieczną. Rząd stanął na tem stanowisku, że kościoły przeszły po przyjęciu ustawy separacyjnej na własność gmin, które mogą z nimi zrobić, co zechcą, ale faktycznie pozostawiono je do użytku katolikom i ci odprawiają w nich po dawnemu swoje nabożeństwa, napotykając tylko gdzieniegdzie na pewne trudności ze strony władz miejscowych.

Los jednak tych świątyń nie jest dotąd żadnem postanowieniem prawnem zabezpieczony. Każda z nich może być skonfiskowana przez gminę jako „właścicielkę“ i obrócona na inny użytek, jeżeli rząd temu nie przeszkodzi,— co zresztą zależy tylko od dobrej jego woli; — nikt też nie ma obowiązku utrzymywać ich w dobrym stanie i w razie potrzeby restaurować, — z wyjątkiem tych, które są uznane przez rząd jako cenne dzieła sztuki, należące do godnych zachowania pamiątek narodowych (takich jest około 2 tysięcy). Niejednej grozi już dzisiaj rozpadnięcie się w gruzy, wielu innym za lat kilkanaście lub kilkadziesiąt. W miejscowościach zamieszkałych przez ludność zamożną niema dotąd powodu do tej obawy; — tam katolicy składają hojne ofiary na utrzymanie kościołów i budują nowe[1]). Rząd nie zabrania też gminom dostarczać na to funduszów, chociaż to nie zgadza się wcale z brzmieniem i tendencyą ustawy separacyjnej i chociaż przeciw temu protestują nieprzyjaciele katolicyzmu w Izbach prawodawczych republiki. Ale są inne gminy — i bardzo liczne, które nie mogą zdobyć się na koszta restauracyi swoich kościołów; — są i takie, których zwierzchność jest sprawie tej nieprzychylna i nie pozwala na restauracyę, chociaż proboszcz sam zbierze na nią fundusze. Oto kilka przykładów[2]):

W Méricourt (w dep. Pas de Calais) chciał proboszcz własnym kosztem dokonać pewnych reparacyi koniecznych, ale rada gminna zabroniła mu tknąć kościoła. W Ville-sur-Arce (dep. Aube) potrzebne były małe naprawki u wejścia do nawy. Proboszcz gotów był je zrobić. Ale mer, który miał proces z powodu, że kazał dzwonić przy pogrzebie cywilnym, skorzystał teraz ze sposobności, żeby dokuczyć proboszczowi, zarządził zamknięcie części kościoła i nie dopuścił do restauracyi. W Reterre (dep. Creuse) zebrał proboszcz fundusze na restauracyę swego kościoła, na którą zgodziła się i rada gminna, ale spotkał się z trudnościami ze strony władz administracyjnych. W Grisy Suisnes (dep. Brie-Comte-Robert) postanowiła rada gminna obrócić kościół na inny użytek z powodu, że katolicy miejscowi nie mieli funduszów dostatecznych na jego restauracyę i uchwaliła sprzedać na licytacyi należące do niego „przedmioty kultu“: konfesyonał sprzedano za 19 franków, statuę M. Boskiej z 15-go wieku (bez głowy i rąk) za 40 f, dzwon, ważący 500 kilo, za 800 fr. i t. d. Potem kościół zburzono, a znalezione pod nim szczątki zmarłych uległy oburzającemu zbezczeszczeniu. W dep. de l'Yonne zburzono pięć starych kościołów.

Kiedy stowarzyszenie Touring-Club zwróciło się do mera gminy Volx (Basses-Alpes) z prośbą o zachowanie starej kaplicy romańskiej, skazanej na zburzenie, otrzymała odpowiedź, która doskonale charakteryzuje głupotę tego naczelnika gminy i jego wrogie usposobienie wobec pamiątek przeszłości: „Mam zaszczyt Pana uwiadomić, że rzeczywiście... poczyniono przygotowania do zburzenia starej kaplicy za pomocą czterech patronów dynamitu... Jest ona, jak Pan mówi, dziedzictwem naszych przodków, ale przypomina nam czasy, w których nasi ojcowie musieli znosić jarzmo kleru panującego i srogiego. Pochodzi ona, jak się zdaje, z 12-go wieku; widziała więc epokę Inkwizycyi, św. Bartłomieja i dragonad“ etc. — A takich barbarzyńców gotowych do wszelkiego wandalizmu znajdzie się więcej wśród urzędników trzeciej republiki francuskiej, od których łaski zależą tam dziś kościoły katolickie!

Nic więc dziwnego, że nie tylko katolicy wierzący, ale i wszyscy miłośnicy pamiątek narodowych, sztuki i kultury są w wysokim stopniu zaniepokojeni tym stanem rzeczy i szukają środków ratunku dla kościołów francuskich. Między innymi podjął się ich obrony z zapałem i energią akademik Barrès, jeden z najwybitniejszych pisarzy współczesnych: i on nie przemawia tu jako katolik, ale jako poeta, jako estetyk, jako myśliciel, rozumiejący potrzebę i znaczenie religii. Wystąpienie jego w prasie i na trybunie parlamentarnej miało ten skutek, że liczny zastęp artystów, literatów, uczonych i innych obywateli podpisał petycyę, żądającą ratowania kościołów. Są między nimi ludzie różnych przekonań i należący do różnych stronnictw. Opinia publiczna jest silnie poruszona i rząd widzi, że musi się z nią liczyć, dlatego poleca prefektom, żeby nie czynili trudności katolikom, którzy chcą kościoły swoje restaurować. Jest zatem nadzieja, że usiłowania ich obrońców nie będą daremne.

Jak daleko posuwa się gdzieniegdzie wstrętna brutalność rad gminnych, o tem świadczy fakt, podniesiony także przez Barrèsa w Izbie deputowanych, że w Vendôme urządzono w wieży, uznanej za cenny zabytek architektury kościelnej, publiczne miejsce ustępowe! Wstydzą się tego i radykalni socyaliści i widzą już sami, że coś trzeba zrobić dla uratowania przynajmniej tych świątyń, które mają wartość artystyczną, ale dotąd nie powzięto uchwał do tego potrzebnych. Wnioski, przyjęte przez Izbę, odrzucił senat. Na 100 gmin sprzeciwia się 50 zachowaniu kościołów takich, które Komisya pomników historycznych zaliczyła do zabytków godnych zachowania. Jest 1200 kościołów, które wymagają natychmiastowej reparacyi.

P. Maurycy Barrès nie wyznaje stanowczo przekonań katolickich. On tylko odczuwa żywo potrzebę religii, potrzebę ideału i dlatego tak ceni każdy kościół wiejski, że on przypomina świat nadziemski i podnosi duszę ku niebu, że w nim streszcza się dla ludu stara cywilizacya chrześcijańska i francuska; — ale ten kościół stawia autor obok zjawisk przyrody, mających dla niego pewien urok mistyczny: „Kościółki wiejskie“ mówi on „przyroda francuska, głębokie bory, źródła żywe, jezioro wśród lasu, — jak to wszystko dźwięczy harmonijnie!“[1]). Ale w każdym razie trzeba mu poczytać za wielką zasługę, że z tak szlachetnym zapałem od czterech lat walczy w obronie świątyń francuskich, których już kilkadziesiąt powiodło mu się ocalić od zagłady.

X. A. P.

Bibliografia.

Ks. Stanisław Żukowski: **Eucharystyczne Pokłosie**. Serya II. Str. 180 w 8-ce, Lwów 1915.

O pierwszej seryi tych rozmyślań i nauk pisaliśmy w G. K. w r. 1913 (str. 485), przyznając im wielkie zalety, a mianowicie świeżość i polot krasomowczy, formę nową i oryginalną. Musieliśmy

---

[1]) Por. art. Gaz. Kość. p. n. »Z Francyi« w Nrze 27 z r. 1914.

[2]) Por. rozprawę Maurycego Barrès, członka Akademii i posła do Izby deputowanych, zamieszczoną w »Revue de deux mondes« z grudnia 1913.

[1]) Revue d. d. m. z 1-go lutego 1914, str. 498.

im jednak wytknąć także pewne słabe strony. W seryi II, niedawno wydanej, znajdujemy te same zalety, słabych zaś stron i usterek daleko już mniej, co świadczy chlubnie o dążeniu szan. Autora do ciągłego postępu. Książka jego zawiera kazania i egzorty o Najśw. Sakramencie i kilka rozdziałów, które mają formę medytacyi, ale prawdopodobnie powtarzają także myśli, wypowiedziane w kazaniach. Z każdej stronicy przebija się gorąca chęć rozpowszechnienia kultu Eucharystyi. Autor umie stare prawdy wypowiadać w sposób nowy i oryginalny, jak np. na str. 37: „...aż nadto często ziszcza się ta tragedya, że ludzie, ufni w swą własną mądrość, gdy zdala od Eucharystyi trwają, schodzą tam, gdzie są ściekowiska błędu, gdzie się rozlegają mroki kłamu i kędy tryskają źródła rozpaczy". Gdzieindziej jednak przemawia w sposób zbyt sztuczny i wyszukany, folgując swemu upodobaniu w wyrażeniach oryginalnych lub obcych, które różnią się bardzo od biblijnych i mogą być zrozumiane tylko przez słuchaczy wykształconych, jak n. p., gdy pisze: „To niech będzie punktem kulminacyjnym naszej ekspiacyi" (str. 157). „Widzimy rozchwianie się świata w podwójnej służbie i dlatego radzibyśmy tę służbę ujednostajnić, radzibyśmy wszystkich skupić przy Bogu" (str. 158). „Dlatego nasz stosunek do Jezusa — Eucharystyi będzie wyrazem naszego stosunku do szczęścia, do powodzenia, do prawdziwej pomnikowej wielkości" (str. 164). „My wszyscy jesteśmy wobec Boga dłużnikami, łatwo więc odgadnąć, że w naszej oryentacyi życiowej odkryjemy także chwile bez Boga przeżyte" i t. d. (str. 165). „Czując bezmoc zwolnienia się" (str. 96). „To uznanie nie śmie" (zam. „nie powinno") być tylko ideowe, teoretyczne" (str. 129) i t. d.

Jakkolwiek więc miło nam stwierdzić, że w tej „seryi drugiej" jest już daleko mniej wyrażeń podobnych i wogóle widoczny jest postęp w porównaniu z pierwszą, — to przecież uważamy za swój obowiązek przestrzedz szan. Autora ponownie przed zwrotami tego rodzaju. *X. P.*

Der hl. Kamillus von Lellis und sein Orden. Zur dritten Jahrhundertfeier des Todestages des Heiligen. Herausgegeben von den deutschen Kamilianerpatres. Mit 20 Bildern. 8° (XII i 346 str.) Freiburg u. Wien 1914, Herdersche Verlagshandlung. M. 3.60; K. 4.32; opr. w płótno M. 4.50, K. 5.40.

Dzieło to składa się z trzech części: pierwsza zawiera biografię świętego reformatora szpitali, druga historyę jego zakonu, trzecia historyę niemieckiej prowincyi tego zakonu. Najwięcej zajęcia budzi część pierwsza, która nam żywo stawia przed oczyma postać św. Kamila i opowiada o dziwnych kolejach jego życia, o nadzwyczajnych udzielonych mu łaskach. Założył on w Rzymie nowe stowarzyszenie dla niesienia pomocy chorym, które musiało zrazu walczyć z największemi trudnościami, ale w krótkim stosunkowo czasie zjednało sobie tysiące serc i rozwinęło podziwienia godną działalność. Z głębokiem wzruszeniem czyta się o licznych dowodach heroicznej miłości bliźniego, jakie złożył sam Święty i złożyli jego synowie duchowni; niczem podobnem nie może się poszczycić dzisiejsza, wysławiana przez wielu filantropia.

Mniej zajmująca jest część trzecia, opowiadająca o Kamilianach niemieckich; — ci mają swój nowicyat i scholastykat (dla studyum teologii i filozofii) w Roermond w Holandyi, a w ostatnich czasach osiedlili się także w Wiedniu i w Tyrolu.

Książka ta stanowi lekturę bardzo budującą i pożyteczną. *P.*

Z prasy w okresie okupacyjnym.

Okres wojenny nastręcza wiele sposobności do poruszania aktualnych tematów prawno-politycznych, związanych bezpośrednio lub pośrednio z wypadkami wojennymi. Dr. Tadeusz Hilarowicz, który jako współpracownik dzienników lwowskich w czasie okupacyi rosyjskiej w szeregu artykułów omawiał systematycznie sprawy prawno-polityczne i prawno-międzynarodowe, mające łączność z dobą dzisiejszą, poświęcił osobno kilka artykułów szerokiemu omówieniu kwestyi udziału Stolicy Apostolskiej w przyszłym kongresie międzynarodowym, (drukowanych w „Kuryerze lwowskim" z początkiem r. b.). Autor, naszkicowawszy dzieje państwa kościelnego i jego zaboru, scharakteryzował stanowisko Stolicy Apostolskiej w życiu prawno-międzynarodowem. Wskazał na to, że ze stanowiska teoryi prawa publicznego Stolica Apostolska, względnie Papież ma charakter „państwa" w znaczeniu prawno-międzynarodowem, chociaż pozbawiony został faktycznie władzy nad terytoryum państwa kościelnego i jego ludnością. Państwa inne traktują ze Stolicą Apostolską, względnie z Papieżem, jako z jednostką prawno-polityczną najwyższego rzędu, jako ze „suwerenem". Prawo wysyłania i przyjmowania reprezentantów dyplomatycznych jest najistotniejszem znamieniem państwa w znaczeniu prawno-międzynarodowem, a Stolica Ap. właśnie prawa te w całej pełni wykonywa. Dr. Hilarowicz wykazał w swych artykułach, że wobec tego, iż Stolica Ap. na polu reprezentacyi dyplomatycznej jest w całej pełni wogóle uważana za państwo, — brak reprezentacyi Stolicy tej na kongresach międzynarodowych przedstawia się jako rażąca i niesprawiedliwa niekonsekwencya. Najbliższy kongres międzynarodowy, który niewątpliwie odbędzie się po wojnie światowej, a który między innemi sprawami będzie musiał poddać ścisłej rewizyi różne strony życia prawno-międzynarodowego, daje doskonałą sposobność do sprostowania tej niekonsekwencyi i zasadniczego uznania, że Stolicy Ap. przysługuje prawo udziału w kongresie międzynarodowym na równi z innymi suwerenami. Obok ściśle prawnych, odgrywają tutaj także role momenty natury ideowej. Na kongresie międzynarodowym, który ma podłożyć podwaliny pod przyszłe, nowe życie narodów, nie powinno braknąć reprezentacyi Stolicy Ap., będącej dla wielkiej części ludzkości widomym symbolem cywilizacyi chrześcijańskiej. *T.*

Z lwowskiego Koła XX. Katechetów.

Posiedzenia Koła odbywać się będą odtąd w każdą środę (z wyjątkiem świąt) o godzinie czwartej w lokalu Koła.

Na fundusz prasowy złożył X. Michał Dębowski (z Krakowa) 6 kor.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Ks Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77.